

Taszów – tam, gdzie kończy się droga

Artykuł jest próbą zdefiniowania pojęcia lokalności dla Taszowa – małej, wyludnionej wsi przygranicznej na ziemi kłodzkiej. Niegdyś tętniąca życiem, obecnie zamieniła się w opustoszałą wieś letniskową. Jednak dla wielu osób, mieszkających aktualnie daleko od Taszowa, miejsce to nadal przywołuje ciepłe emocje i wspomnienia z lat młodości, mimo że rzeczywistość jest daleka od idealizowanego obrazu pojawiającego się w ich opowieściach. Magia miejsca i odczucie lokalności okazują się być przede wszystkim szczególną więzią pomiędzy ludźmi, przestrzenią i wspólnie przeżytych czasem, która trwa niezależnie od zmian, jakim podlega realne miejsce.

* * *

Pierwsze spotkanie

W Lewinie Kłodzkim należy skierować się na południe nowo wyremontowaną drogą prowadzącą do Czech. Tuż przed granicą odchodzi w prawo boczna wąska droga. Przy jej początku stoi znak informacyjny – droga bez wyjazdu. Jakby ostrzeżenie, że dalej nie ma już nic, że zbliżam się do końca świata – można albo zawrócić, albo zostać tam na zawsze. Wjeżdżam na nią mimo wszystko. Przynajmniej na razie kilka kilometrów lawirowania między dziurami i wybojami, mozolnego wspinania się zakrętami na rozległą, szeroką wierzchowinę Taszowskich Gór, najbardziej na południe wysuniętej części Wzgórz Lewińskich. Mam wrażenie, że cywilizacja została daleko za mną i wkraczam w niepodzielne królestwo bujnej roślinności, rozpierającej się z całych sił na wszystkie strony. Na niekoszonych łąkach będących jeszcze wcześniej polami ornymi rozpanoszyły się zwarte kępy brzozy, jarzębin i świerków. Wśród nich, z wielkim trudem, można dostrzec zarysy ledwo widocznych bruzd dawnych polnych dróg. Od wielu lat nikt ich nie potrzebował i chyba niewiele osób jeszcze w ogóle pamięta, że te drogi kiedyś tam były. Przy szosie kamienny krzyż, na którym odcisnęły się rysy starości. Metalowe klamry bronią go przed rozpadem, bo nawet kamień okazuje się nietrwały wobec upływu czasu bezlitosnego także dla świętości. A może zafrasowana figura po prostu pękła z żalu, obserwując, jak bardzo zmienia się świat wokół i jak wciąż, od wielu lat, nie może przybrać w tym rejonie stabilnej formy.

Wreszcie jest – zielona tablica z napisem „Taszów”. Co prawda nikt jeszcze nie dopisał pod spodem „koniec świata”, ale i tak wszyscy to wiedzą. Można to wyczuć na każdym kroku, gdy przemierza się wieś, wspinając się wciąż pod górę. Stare, drewniane typowe sudeckie chaty pochylone są nisko ku ziemi, zapadnięte jakby zmęczone ilością zdarzeń, których były świadkami. Zresztą i tak niewiele z nich się zachowało. Większość została zniszczona, a raczej zużyta jako „surowiec wtórny” na potrzeby miejscowej ludności już kilka dekad temu. W górnej części wsi pojawiają się za to więcej nowych, klockowatych domków dalekich od tradycyjnych lokalnych wzorców. Wszystkie mają jedną wspólną cechę – zamknięte na cztery spusty okiennice. Te domy

ożywają tylko od czasu do czasu: w weekendy, wakacje, święta. Ale na co dzień stoją martwe, czekające na chwilę, kiedy znów ktoś wpuści światło do ich ciemnych wnętrza, otwierając na oścież drzwi i okna. Powyżej domów droga kończy się na dobre, rozgałęzia się w kilka wąskich ścieżek biegnących w różnych kierunkach – w las i na łąki. Po wojnie celowo zniszczono górny odcinek drogi, zrywając asfalt i zaorując ślad po nim, żeby przypadkiem komuś nie przyszło do głowy, że można beztrudno wędrować szosą aż do samej granicy, która jest tuż-tuż.

Pierwsze wrażenie ze spotkania z Taszowem to nieodparte uczucie smutku, jakie chyba zawsze towarzyszy miejscom końcowym, granicznym, zamkniętym, gdzie nawet droga przestaje prowadzić dalej. Udziela się smutek domów – tęsknota starych chałup za dawnym życiem, które tu niegdyś tętniło, i tęsknota nowych domków letniskowych za życiem w jakiegokolwiek postaci, którego doświadczać tak rzadko. I jedne, i drugie domy obejmowane są coraz bardziej zaciskającymi się, agresywnymi ramionami wkradającej się zewsząd roślinności, której już nie ma kto okiełznać i powstrzymać. Ale jest jeszcze coś innego w tym miejscu na końcu świata – jakaś ledwo uchwytna magia, wyczuwalny szóstym zmysłem *genius loci*, którego nie umiałam nawet zdefiniować. Poczułam tylko, że coś kryje się głębiej w atmosferze tej wyludnionej, a teraz zamienionej w letniskową, przygraniczną wsi. Wystarczyło jeszcze przypadkowe spotkanie z dwoma mieszkańcami i... wsiąkłam na dobre. Tak zaczęło się moje poszukiwanie rozwiązania zagadki Taszowa i jego niezwyklej aury, którą, jak się później okazało, zostało dotkniętych bardzo wiele osób. Niektórzy mówią o magii miejsca, inni o lokalnej tożsamości, jeszcze inni w ogóle zaprzeczają, jakoby w Taszowie był jakikolwiek *genius loci*. „Wiesz jak każda inna, ciągle jakieś sąsiedzkie spory i plotki”. A jednak drugiego miejsca z tak silnie wyczuwalną jego własną atmosferą nie znalazłam wśród żadnego innego zakątka na całej ziemi kłodzkiej.

Magia miejsca

„Tak, Taszów... jest o czym opowiadać i pisać” – z zamyśleniem zaczął swoją wypowiedź jeden z moich rozmówców. W różnych miejscach Polski, ba, nawet za granicą, na wzmiankę o Taszowie u wielu osób oczy zaczynają błyszczeć, wzrok staje się jakby niewidzący, bo patrzący daleko w przeszłość, głos mięknie, podobnie jak wtedy, gdy zaczyna się mówić o ukochanej osobie. To chyba nie przypadek, że w Internecie znajdziemy zarówno spisane po niemiecku wspomnienia wysiedlonego po wojnie rdzennego, z dziada pradziada, mieszkańca Taszowa¹, jak i stronę o Taszowie na Facebooku założoną przez pokolenie obecnych 20-30-latków, którzy zaczęli przyjeżdżać w to miejsce jako dzieci „wewnętrznych imigrantów” tworzących we wsi, w latach 70. XX wieku, drugą powojenną falę osadników.

A tak o Taszowie opowiadała mi jedna z dawnych częstych bywalczyń:

Musi być jakaś magia tego miejsca, skoro miejscowość kilka razy upadała i zawsze się odradzała. Musi być dobra energia w tej okolicy. Chińczycy pewnie powiedzieliby, że jest odpowiednie *feng shui* – wieś osłonięta jest górami, co stwarza poczucie bezpieczeństwa, przez centrum płynie potok, który symbolizuje życiodajną siłę. Większość osób, które przyjechały kiedykolwiek do Taszowa, wpadała w sidła i nie mogła przestać wracać przez kolejne lata lub nawet osiedlała się tam na stałe lub przynajmniej na jakiś czas. Tak, musi być jakiś *genius loci* w Taszowie, jakżeby inaczej wytłumaczyć fenomen miejsca, które przyciągnęło do siebie tylu niezwyklej ludzi, tak różnorodnie i niebanalnie osobowości.

¹ H. Feist, *Meine Erinnerungen*, 1998, s. 1-84, www.harryw.de/old_version/pageID_1713404.html (dostęp: 23.04.2012).

Fale historii²

Najpierw byli Niemcy. Czas wielkich gospodarstw, rozwoju, może nie bogactwa, ale z pewnością pracowitego życia przynoszącego bogate zbiory. Po wielu latach od przymusowego opuszczenia Taszowa tuż po wojnie, nieżyjący już jego dawny mieszkaniec wciąż z wielkim sentymentem spisywał swe wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości, kiedy cały jego świat związany był z tym miejscem i jego najbliższą okolicą³. Lata powojenne – Taszów ponownie odżył i rozbrzmiewał miękkiem, śpiewnym akcentem nowych mieszkańców przybyłych głównie z dalekich wschodnich Kresów, spod Stanisławowa i Tarnopola. Im chyba trudniej było poczuć magię tego miejsca, przywiązać się do niego. Zaniebane gospodarstwa, pozarastane ogrody, nieremontowane domy – „no bo po co dla Niemców dom naprawiać?” Poczucie tymczasowości z pewnością nie sprzyjało tworzeniu więzi z miejscem, z sąsiadami. Nie powstała intymność między człowiekiem a przestrzenią, tak konieczna do zbudowania lokalnej wspólnoty. A bez niej nic trwałego nie mogło powstać. Nowi osadnicy zaczęli wyjeżdżać, szukać tej więzi gdzie indziej, byle jak najdalej od tego ponurego, przygranicznego, zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca. Z kilkudziesięciu funkcjonujących tu jeszcze w latach 60.-70. XX wieku gospodarstw⁴ pod koniec tego okresu zostało zaledwie czterech stałych mieszkańców. Taki właśnie Taszów, już prawie nieistniejący, odkryli w połowie lat 70. XX wieku wrocławscy artyści i wolne duchy. Zaczęło się od Teatru Deszczu, który miał próby w jednej ze starych taszowskich chat. I potoczyła się lawina. Zaczęli przyjeżdżać przyjaciele, znajomi, potem znajomi znajomych, jeden mówił drugiemu: „słuchaj stary, jest takie fajne miejsce, blisko granicy, cisza i spokój, no mówię Ci, stary, pełna wolność, jedziemy w najbliższy weekend, zabierasz się z nami?”. Przyjeżdżali i... zostawali. Przez wiele lat główna grupa taszowskich wolnych duchów skupiała się wokół chaty Krystiana i Maryny, do dziś wspominanych przez wiele osób jako kultowe postacie tamtego czasu. To była Grupa Historyków Sztuki. Nieco później, sąsiednią chatę przysposobiła sobie nakładem pracy własnych rąk, Grupa Wolnych Tkaczy. Czy cokolwiek tu utkali, czy cały wysiłek skoncentrował się na remoncie chałupy i samym byciu tutaj, i przetrwaniu, to już nie jest istotne. W ich wspomnieniach tamten czas urasta do rangi legendy, najpiękniejszego epizodu w szalonym okresie młodości tuż po studiach lub jeszcze w ich trakcie. Z kolei w górnej części Taszowa coraz więcej chat przechodziło wówczas w dzierżawę pracowników wrocławskiej Akademii Rolniczej, która miała tam swój ośrodek wypoczynkowo-kolonijny.

Barwy wspomnień

Zarówno ludzie z kręgu historyków sztuki, jak i tkacze, artyści i naukowcy, teraz rozproszeni po całym kraju i prowadzący zupełnie inne życie, na wspomnienie Taszowa ożywiają się, wyciągają wyblakłe czarno-białe fotografie i stare orwowskie przeźrocza o nieco zmienionych już kolorach. Zaczynają płynąć opowieści – barwne, żywe, zabawne, ale i tragiczne, wzruszające, przerażające. Przywoływane czasy wydają się tak bliskie, jakby przedstawiane wydarzenia rozgrywały się dopiero co wczoraj – dawni mieszkańcy i stali bywalcy Taszowa głęboko i mocno wchodzą w dawne emocje i wspomnienia. Magia miejsca i dawnego czasu ożywa ponownie. „A pamiętasz...? Pamiętasz...?” – i kolejne obrazy z przeszłości Taszowa płyną przez wiele

² Rekonstrukcji historii Taszowa dokonano na podstawie rozmów z dawnymi i obecnymi mieszkańcami oraz następujących źródeł: H. Feist, *Meine Erinnerungen...*, M. Staffa, *Słownik geografii turystycznej Sudetów, tom 13, Góry Stołowe*, Warszawa: Wyd. PTTK „Kraj”, 1996, s. 248-249.

³ H. Feist, dz. cyt.

⁴ M. Staffa, dz. cyt., s. 248-249.

godzin, zawieszane między tu i teraz, a tam i wtedy jakby nie było tych 30-40 lat, które minęły niezauważone gdzieś pomiędzy.

To była wielka zabawa w dom, ale z cofnięciem się w czasie. Już samo gotowanie było nie lada wyczynem – trzeba było iść do lasu po drewno, po wodę do strumienia, zdobyć produkty, czyli na przykład nabierać grzyby. I już pół dnia mijało. Dużo chodziło się na spacer, no i oczywiście często odbywały się towarzyskie biesiady. Piwa nigdy nie mogło zabraknąć!

– ze śmiechem opowiada jedna z kobiet tworzących wówczas trzon tej niezwyklej taszowskiej wspólnoty.

Najpiękniejsze było czekanie na gości. Wiadomo było, że zawsze ktoś się zjawi, ale niespodzianką było to, kto tym razem przyjedzie. Nikomu nie śniło się jeszcze o telefonach komórkowych. Na połączenie z Wrocławiem z Lewina czekało się nawet sześć godzin, a i tak ledwo co było słyhać. Ale zawsze dom stał otworem i nigdy nie zabrakło w nim gości. Najbardziej cieszyło mnie, kiedy mogłam nakarmić zdorzonych długą podróżą przyjezdnych. Wtedy już samo dotarcie do Taszowa było wielkim przedsięwzięciem, nikt z nas przecież nie miał samochodu, z Lewina szło się pieszo, dźwigając wszystko w plecakach.

„Przez te plecaki – to już opowieść jednej z „tkaczek” – miejscowi ludzie patrzyli na nas początkowo jak na dziwaków. Oni nie używali takich sprzętów. W ogóle mam wrażenie, że na niczym już im nie zależało, nie dbali o swoje obejścia, więc tym bardziej musieliśmy się im wydać szaleńcami. No bo któż inny dobrowolnie by wyjechał z miasta i zasył się na takim totalnym odludziu, i to jeszcze w starej, rozwalającej się chacie, którą trzeba było w nieskończoność remontować. I jeszcze chciało się tym dziwakom uprawiać ogrody!” – moja rozmówczyni śmieje się na wspomnienie niedowierzania, z jakim kilku pozostałych jeszcze we wsi osiedleńców z Kresów patrzyło na poczynania młodych ludzi:

Traktowali nas jak nietypowych turystów. A my za wszelką cenę chcieliśmy być tutejsi, lokalni, przywrócić życie do opuszczonej wioski, odtworzyć dawne tradycje upraw i rzemiosł, stąd też pomysł na tkactwo. Sporo czasu minęło, zanim przestaliśmy być «obcy». Poza tym byliśmy też trochę niewygodni dla lokalnych mieszkańców – mimo woli byliśmy przecież świadkami ich życia, nie zawsze zacnego i uczciwego, i to chyba najbardziej im się w nas, «przyjezdnych miastowych», nie podobało...

Siła pamięci

Ze wszystkich wypowiedzi tkaczy i historyków sztuki przebija wielki sentyment, jaki mają oni do Taszowa i do czasu, który tam kiedyś przeżyli. A przede wszystkim do ludzi, z którymi wówczas tworzyli tę niewielką, ale niezwyklej taszowską wspólnotę – ich własną prywatną lokalność. I mimo że ich drogi się rozeszły, to Taszów żyje w nich nadal swoim własnym życiem, coraz bardziej odrębnym od prawdziwego miejsca, którym jest teraz, po wielu latach. Fenomen Taszowa tkwi także w ogromnej rozciągłości czasoprzestrzeni w meandrach ludzkiej pamięci. Większość tkaczy spędziła w tym miejscu zaledwie rok czy półtora, potem przyjeżdżając tylko sporadycznie. Historycy sztuki przetrwali znacznie dłużej, ale ich drogi też już dawno się rozeszły i tradycja biesiadnych spotkań w chacie Krystiana umarła (chwilę później niż jej legendarny właściciel), już wiele lat temu. Jakże więc intensywne musiały być emocje, skoro przez w sumie krótki czas wspólnego sąsiedztwa zostało do dziś tyle wspomnień i trwałych przyjaźni,

a słowo Taszów wzbudza niezwykle entuzjazm i być może porusza w sercu najdelikatniejszą strunę tęsknoty, która zawsze pozostaje za miejscem, w którym byliśmy szczęśliwi, choćby przez moment.

Wspólnota?

W rozmowach o Taszowie często przewijają się słowa: wspólnota, wolność i magia miejsca. Ale to tylko w wypowiedziach dawnych bywalców. Obecnych mieszkańców, przedstawiciele trzeciej powojennej fali osadników z lat 90. XX wieku, dziwią takie stwierdzenia: „Jaka magia, ależ tu nie ma żadnej magii w tej zapomnianej przez świat wiosce. No, może jedyną magią jest trwająca co najmniej pół roku zima...”.

Taszów i wspólnota? Proszę pani, to chyba jakaś pomyłka. Proszę zobaczyć, wszyscy szczerze poodgradzani, nowe płoty, nawet szlaban do jednej z posiadłości. Wszędzie tabliczki z zakazem wstępu, bo „teren prywatny”. Kto pani takich bajek o jakiejś wspólnocie naopowiadał? Teraz to prawie sami letnicy w tej wsi, a i tak coraz rzadziej przyjeżdżają, znudzili się. Kiedyś to i może była atrakcja, ale teraz, kiedy tak łatwo w szeroki świat pojechać, komu by się chciało do tego zabitego dechami Taszowa przyjeżdżać. A nawet jak już ktoś przyjedzie na weekend, to ze swoją ekipą i głównie po to, żeby zabawić się we własnym gronie. No wie pani, grill i skrzynka czeskiego piwa. Integracja z sąsiadami nie jest wtedy do szczęścia potrzebna. Ale w sumie, jak impreza jest dobra i mocnych trunków w bród, to może wtedy i magię zaczyna się odczuwać...

„Nie ma żadnej wspólnoty, co najwyżej potworzyły się grupy letników, którzy próbują imponować sobie pieniędzmi, samochodami albo ilością wypitego alkoholu – i to cała magia tej wsi, nie oszukujmy się”.

„Najbardziej niesamowite w Taszowie było to poczucie wspólnoty między ludźmi. To musi być prawdziwa magia miejsca, skoro większość osób po pierwszym przyjeździe od razu łapała bakcyła powrotu”. Barwny tłum niebanalnych postaci: tkacze próbujący stworzyć komunę wspólnego życia na kształt dzieci-kwiatów zafascynowanych kulturą Dalekiego Wschodu; historycy sztuki skupieni wokół chaty Krystiana; artyści maści wszelakiej; naukowcy. Chata Krystiana stała się symboliczną ostoją dla odszczepieńców, niedopasowanych do świata, dla tych, którzy mieli problemy z rodziną – wszyscy się tam przytulali, znajdowali w Taszowie rodzinę zastępczą. „Przyjeżdżałem do Taszowa, wchodziłem do chaty, a w środku Maryna i Dorota krzątające się przy kuchni. I wiedziałem, że tam jest Dom i ciepło”.

No i oczywiście Krystian, dusza taszowskiego świata, artystyczna i niespokojna. Miał niezwykle dar zjednywania sobie ludzi, wszystkich zapraszał do Taszowa – i faktycznie, przyjeżdżali. Stwarzał wokół siebie poczucie wielkiego luzu, swobody, ale jednocześnie wszyscy bardzo się tam nawzajem szanowali. Według chińskiego horoskopu Krystian był spod znaku małpy, a to jedyny znak, który potrafi zmieniać rzeczywistość. I wiesz, coś w tym musi być. Był prawdziwym nieformalnym guru tej grupy. Jego silna osobowość, charyzma, może nie wszystkim przypadają do gustu, ale na większość osób działały jak magnes. No i łapali bakcyła Taszowa.

A co teraz? Izolacja i zamknięcie ponad wszystko. Za dużo indywidualnych jednostek, a to zawsze niebezpiecznie blisko egoizmu. W miejsce otwartych dawniej na oścież drzwi – „selekcja” ludzi i brak czasu. A może po prostu brak charyzmatycznego lidera?

We wszystkich wspomnieniach przewijają się stwierdzenia, że to był trudny okres. Stąd w tamtych czasach wspólnota stała się wręcz koniecznością. Niczego nie było. Ludzie musieli liczyć na siebie nawzajem i wspólnymi siłami tworzyć wieś od nowa. Pomiędzy domami, tam gdzie teraz wyrosły gęste chaszczki pełne pokrzyw, wydeptane były liczne ścieżki. Pomoc sąsiedzka była niezbędna, by przetrwać – wciąż trzeba było coś pożyczać, pomagać sobie w pracach budowlanych, dzielić się niewielką ilością trudno wówczas dostępnych, a banalnych z dzisiejszej perspektywy, przedmiotów – śrubki, młotek, siekiera, łopata. Teraz ścieżki zarosły. „Płoty, ogrodzenia? Tak, ale jedynie przed dziką zwierzyną, która wyjadała to, co próbowaliśmy uprawiać na przydomowych poletkach. Nikt nie grodził się przed sąsiadami. A jedyny szlaban, jaki istniał, to był szlaban na granicy z Czechosłowacją”. Paradoksalnie, to właśnie bieda i niedostatek pozwoliły stworzyć w tamtym okresie więzi tak silne, że trwają do dziś, nawet jeśli ludzie rozproszyli się w różne zakątki świata. „Ale to była tylko «wspólnota martyrologii», a nie wspólnota wartości. Ta może pojawiała się od czasu do czasu, ale wątpię, czy oparta była na faktycznych więziach. To były raczej chwilowe emocje związane z niedzielno-wakacyjnymi nastrojami, kiedy łatwo było ulegać marzeniom, wizjom i pijackim rojeniom. Ale potem wszyscy się rozjeżdżali i kończyła się wspólnota”. Czy ta sceptyczna opinia jednego z nielicznych obecnie stałych mieszkańców wynika z tego, że przybył on do Taszowa, kiedy skończył się już „złoty okres” taszowskiej komuny, czy też prawidłowo zdiagnozował on zjawisko społeczne, jakim był Taszów w tamtym czasie? Ostatnia fala osadników sprzed kilkunastu lat zaledwie otarła się o dawne taszowskie klimaty, traktując je na ogół jak legendy i mity. Ale jeśli faktycznie tamta wspólnota miałyby być tylko młodzieńczą iluzją i wytworem alkoholowej fantazji, to czy po tak wielu latach, w oczach tylu osób, wspomnienie Taszowa wywoływałoby blask, a w głosie brzmiałaby ciepła, nieco rozmarzona nuta?

O głębokim poczuciu lokalnej wspólnoty słyszę też inne historie. „Taszów był zawsze na uboczu, nie rzucał się w oczy, nawet miejscowe władze słabo były nim zainteresowane. Wiadomo, teren przygraniczny, więc traktowany trochę po macoszemu. Każdy miał «swojego» WOP-istę, ale żyliśmy z nimi w dobrych układach; nudziło się chłopakom, to czasem do nas na imprezę zajrzeli”. Wolnomyślielski, nieformalny – Taszów dawał możliwość pozornej ucieczki spod reżimu władzy. Położony z dala od centralnych rządów, osłonięty górami, odstraszący bliskim położeniem przy pilnie strzeżonej granicy, otoczony rozległą, otwartą przestrzenią łąk i pól rozciągających się na szerokiej wierzchołku, bez płotów i barier, z ziemią należącą do PGR, a więc do wszystkich – dawał poczucie wolności, jakiej można było doświadczyć jeszcze tylko w niewielu innych rejonach kraju. Siła lokalnej wspólnoty także wpływała z tego odsunięcia od głównego nurtu zdarzeń, życia na obrzeżu świata, położenia na uboczu. Dlatego bezkarnie można było na ścianie starej chaty powiesić gobelin z orłem w koronie, postawić ręcznie wystrugane w grubej kłodzie drewna popiersie marszałka Piłsudskiego albo ze śniegu ulepić bałwana z głową Lenina. Przy opróżnianiu kolejnych kieliszków bez trudu można było snuć wizje stworzenia Republiki czy Księstwa Taszowskiego, dla którego nawet zaprojektowano już odrębny znaczek pocztowy. „Tu mieliśmy nasz własny kąt, naszą przestrzeń, wszystko zależało od nas, od pracy naszych rąk”. „Spotykaliśmy się w jednej z chat słuchać radia Wolna Europa. Niestety, szybko straciliśmy tę możliwość, bo myszy zżarły cewkę średnich fal – założyły gniazdo w środku odbiornika. A dostanie nowego nie było proste w tamtych czasach”. To poczucie wolności i jednocześnie bunt młodej inteligencji i wolnych duchów przeciw ustrojowi stwarzały kolejne filary budowania taszowskiej tożsamości. Teraz już nie ma takiej potrzeby. Prawda to znana od dawna, że Polakom znacznie łatwiej stworzyć wspólnotę w czasach zagrożenia i walki. Potem więzi przestają już być potrzebne, ważniejsze staje się mocne ogrodzenie wokół własnego domu i byle nie przyjechać gorszym samochodem niż sąsiad.

„Błękitnienie wspomnień”

Taszów. Czy to tylko sam urok miejsca wzbudza te silne emocje, które do dziś żyją w dawnych jego mieszkańcach? Patrząc na obecnych bywalców wioski, można dać prostą odpowiedź. Magia z pewnością nie tkwi wyłącznie w samym ukształtowaniu terenu, w otwartej przestrzeni łąk, w rozrastającym się lesie, w drodze, która kończy tutaj swój bieg. Musi zaistnieć współdziałanie: przestrzeni, ludzi i właściwego czasu, by mogła powstać ta szczególna, intymna więź, która trwa niezależnie od naszej fizycznej obecności w danym miejscu. Zaskakujące, że ze znacznie większym sentymentem mówią o Taszowie ci, którzy już od dawna tam nie przyjeżdżają. Z opowiadań wyłania się idealny świat wspólnoty, biesiadowania, prostego życia w harmonii z naturą i nieustannego cieszenia się chwilą. „To normalne, idealizują przeszłość. To „błękitnienie wspomnień” – mieszkający w Taszowie psycholog łatwo wyjaśnia mi taszowski fenomen – to była ich młodość, więc jakiegokolwiek nie byłyby tamte czasy, to dla nich zawsze będą piękne”. Chyba często tak jest, że na co dzień zwykle nie odczuwamy magii miejsca, w którym żyjemy, a siłę więzi z otaczającą nas przestrzenią i ludźmi uświadamiamy sobie dopiero wtedy, gdy jesteśmy daleko, gdy coś tracimy, za czymś tęsknimy. No i gdy stajemy się starsi i zaczynamy inaczej patrzeć na świat...

Przeźren i czas

A jednak myślę, że oni naprawdę stworzyli wtedy wspólnotę. I mimo że potem drogi się rozchodzą i nie wszystkie kontakty udaje się ocalić, to zostaje przeświadczenie o przeżyciu czasu niezwykłego. A czas zlewa się z przestrzenią i stąd rodzi się silna więź z miejscem, nawet jeśli teraz codzienne życie tych ludzi toczy się daleko od Taszowa. Poczucie lokalności może nabrać w tym kontekście zupełnie różnych wymiarów.

Definiując lokalność, antropolodzy kulturowi podkreślają istnienie „więzi pomiędzy właściwościami kultury a tożsamością przeżywaną przez członków grupy”, natomiast zasadniczą cechą zbiorowości lokalnej jest swoisty styl życia i rodzaje występujących w niej interakcji⁵. Z kolei różnorodne definicje społeczności lokalnej funkcjonujące w naukach społecznych podkreślają, że tworzy ona system społeczno-kulturowy zakorzeniony zarówno w przestrzeni jak i w historii, a zasadniczymi jej wyznacznikami jest miejsce, czas i więzi z innymi ludźmi⁶.

W Taszowie lokalność przybiera aktualnie dwie odmienne postacie. Jedną realną, współczesną i zawężoną do własnej posiadłości, wokół której skupiają się najbliżsi znajomi, a od obcych należy oddzielić się płotem, szlabanem, tablicą „teren prywatny”, zgodnie z zasadą *my Home is my Castle*. I druga postać, w której lokalność objawia się w sferze ducha, emocji i wspomnień, gdy przeżyty w danym miejscu czas i spotkania tam ludzie, splatają się w nierozzerwalną więź pomiędzy przestrzenią a wspomnieniami. Więź, której potrzebę dziedziczy się w genach. Już nawet kilkuletnie wnuki historyków sztuki domagają się wycieczek do Taszowa. „Bo tam jest wolność” – znów pojawia się to jedno ze słów-kluczy, choć wiadomo, że czym innym była taszowska wolność z lat 70.-80. XX wieku, a czym innym jest dla współczesnych maluchów, które tęsknią za otwartą przestrzenią łąk, po których można gonić się z psem i na których rosną kwiaty, jakich nigdzie nie spotka się w mieście. „Nas też tam ciągnie. Wspomnienia z dzieciństwa to właśnie Taszów. Każdy wyjazd tam był wielkim świętem” – to z kolei mówią rodzice

⁵ Cz. Robotycki, *Spółeczność lokalna a współczesny regionalizm i tożsamość lokalna*, „ZEW” 2012, nr 2, s. 19-41.

⁶ M. Brocki, *Badanie ponowne w Wisłoku Wielkim – założenia projektu i wstępne wyniki*, „ZEW” 2012, nr 2, s. 43-54.

maluchów, młodzi ludzie z pokolenia przełomu lat 70. i 80., którym bakcyl taszowskiej magii również został zaszczerpiony od dziecka.

A więc czym w końcu jest ta taszowska lokalność? Fenomenem miejsca, gdzie romantyzm zakątka na krańcu świata łączy się z tragiczną historią ziem o zmienianych granicach? Czy fenomenem ludzi, którzy mieli szczęście spotkać się w danym miejscu i czasie i przeżyć wspólnie niezapomnianą przygodę młodości?

Maryna przyjechała do Taszowa po wielu latach. Obeszła w milczeniu wszystko dokoła, siadła na progu swojego dawnego domu i zapatrzyła się w zarośnięty lasem stok na przeciwko. „No, teraz rozumiem tych Niemców, że nie przyjeżdżają – mnie też już to nie interesuje”.

I mimo że brak motywacji do powrotu jest w obu przypadkach zupełnie odmienny, to wspólne okazuje się doświadczenie niespełnienia. Powrót do utraconego raju nie przynosi nic poza rozczarowaniem. Miejsce pozostało, ale czas już przeminął.

Co pozostaje?

Układ gór i dolin nie zmienił się od tamtego czasu, przyroda wokół nadal piękna i jeszcze bardziej dzika. Fakt, więcej zarośli, nawet do chaty Krystiana idzie się teraz przez morze pokrzyw. Dostałam do niej klucz i z wielką celebrą otwieram zarośnięte pajęczynami drzwi do budynku owianego tak licznymi legendami i opowieściami. Od wielu lat nikt tam nie był. Sprzęty domowe zostały jednak na swoich miejscach, tylko że większość z nich pokrywa gęsta siwizna pleśń. W pierwszym momencie ma się wrażenie, jakby wewnątrz chaty było przyprószone pierwszym śniegiem. Aż trudno uwierzyć, że stąd promieniowała ta niezwykła taszowska magia miejsca – nie tylko na wieś, ale i na odległe miasta. Tuż przed przyjazdem miałam okazję oglądać slajdy, które utrwaliły barwny świat dawnego, intensywnego życia w tej chacie. A teraz życia ani śladu, oprócz szarej, dzikiej kotki, która z dopiero co narodzonymi kociętami leży zwinięta w kłębek na starym, dziurawym materacu z gąbki pozostawionym na strychu. Poza tym martwota. Jakież to kontrast do barwnych slajdów i żywych wspomnień dawnych bywalców tego miejsca. Teraz już wszystko jasne. Miejsce może potęgować poczucie wspólnoty, odrębności, lokalności; ale jej nie stwarza. Szukałam magii w miejscu, ale ona jest w międzyludzkich więziach wyrastających ze wspólnie przeżytego w danym miejscu czasu. Lokalność tworzy się, jeśli ludzie chcą ją zbudować. Nie trwa ona wiecznie, jak widać w Taszowie, ale może zachować się na zawsze we wspomnieniach. I czasem lepiej ich nie weryfikować w realnej zmieniającej się przestrzeni. Ale nawet jeśli wszystko się zmienia i ludzie odchodzą, pozostaje coś nieokreślonego w powietrzu. Nawet dla mnie, obcej przecież w tym miejscu, niezwiązanej żadnymi towarzyskimi relacjami ani wspomnieniami, nadal wyczuwalna jest aura dawnej obecności, dawnego życia, dawnej energii wcześniejszych mieszkańców płynącej z ich marzeń, siły wspólnoty i miłości do tego miejsca na końcu świata. Poczuć ją można jednak tylko wtedy, gdy chce się znaleźć duszę miejsca, gdy jest czas i wola, by się na nią otworzyć, w nią wejść.

Podziękowania

Wszystkim osobom – z Taszowa, Lasku Miejskiego, Lewina Kłodzkiego, Wrocławia i Opolą – które poświęciły swój czas i zechciały podzielić się swoimi wspomnieniami, obserwacjami i refleksjami na temat Taszowa, składam serdeczne podziękowania.

Rozmowy przeprowadzono⁷ w trakcie wyjazdów terenowych przy okazji realizacji projektu badawczego nr NN 306 384539.

Agnieszka Latocha (dr) : ur. w 1976 r. w Opolu. Absolwentka Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego na kierunku geografia, obecnie adiunkt w Instytucie Geografii i Rozwoju Regionalnego UW. Autorka kilkudziesięciu artykułów, kilku książek oraz licznych prelekcji, zarówno o charakterze naukowym, popularnonaukowym, jak i podróźniczym. Główne zainteresowania naukowe dotyczą zagadnień relacji człowiek – środowisko. Koncentrują się one na problemie przekształceń społeczno-gospodarczych w Sudetach w ostatnich wiekach, zwłaszcza wyludnianiu terenów wiejskich, i związanych z nimi przemianach przyrodniczych i krajobrazowych.

Więcej na: <http://www.geom.uni.wroc.pl/latocha/>

Taszów – where the road ends

The aim of the article is to assess the notion of ‘locality’ for a small, depopulated border village, Taszów, located in the Kłodzko region. It used to be a vivid, densely populated village in the past, nowadays it has turned to a deserted holiday-village. However, there are still people, who live far away from Taszów now, but who were emotionally attached to that place for some time in the past. Their memories from that place evoke a lot of positive emotions from the time of their youth, which they spent in the village, even though their idealized memories are far away from the reality of that place at present. The magic of the place and the sense of locality turn out to be first of all the special relationship between people, space and time shared together, which exists irrespectively of the real place, which is subject to constant changes.

⁷ Rozmowy w formie wywiadów przeprowadzono z następującymi osobami: Jadwiga i Jarosław Gałęzowie (Opole), Dorota, Zbigniew i Agata Niziałkowsy (Wrocław), Renata i Tomasz Witkowsy (Taszów), Marek Mazij (Taszów), Maria Skrzypczyk i Urszula Głuchowska (Lewin Kłodzki). Rozmowy przeprowadzono w okresie od listopada 2011 r. do maja 2012 r.

